

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Góra Biruty w Połagach.

I.

Długi dzień letni się kończył. Słońce chodziło; purpurowa jego tarcza zanurzała powoli w odmęty, a na spokojnych wodach Bałtyku igrały barwy tęcze. Niewielkie fale poruszane leciuchnym wiatrem, faldowały nieznacznie, marszczyły delikatnie, a na ich chliwej, nierównej powierzchni świeciły coraz to inne, coraz to nowe: m. in. srebrem, złotem i wszystkie rodzaje cennych kamieni, wśród których były i topazy.

Cisza w powietrzu, cisza nad morzem, tylko słychać ryk drobnych fal o brzegi, czasem krzyknie, spiesząc na nocleg do skały, tylko czasem stary las, nad morza pasem złotego piasku, głośnie zagwarzy w najwyższych drzewach.

Słońce zanurzało się coraz głębiej. Jego tarcza czerwona błyszczy na zachodzie, a nad nią puła ognista, która maleje, wreszcie ginie, rozproszywszy po toni wodnej swych blasków... Jeszcze zorza wieczorna rumieni się na niebiosach, jeszcze morze płonie chwil kilka... Nakoniec wszystkie światła i barwy gasną, fale szarzejają coraz bardziej, mrok zapada, dzień się kończy, noc nastaje.

*) Połaga, po litewsku Polanga, miasteczko w gubernii kurlandzkiej, niegdyś ważny punkt handlowy na Bałtyku, zniszczony w czasie wojen szwedzkich za Karola XII, na prośby zawistnego Połagdzę kupców miasta Rygi. Od strony połagowskiej miasteczka, nad brzegiem morza, wznosi się góra Biruty. Dzisiaj jest to tylko kopiec żwiru i piasku.

su, tuż nad morzem, tam od strony Kłaj-
ku otoczonym wiankiem świętych dębów,
W dzień biały, przyćmione promieniami
czowało ono tak jasno, ale, gdy zgasło światło
ok ziemię utulił, płomień ogniska strzela we-
wrasza dokoła nocne cienie i oświeca otacza-
cie.

e postacie? To dziewice litewskie, to waje-
żniętego ognia, roznieconego u granic starej
szumiącym morzem, na cześć bogini Prau-
święty ogień nie zagaśnie, dopóty Litwie nie
ezpieczeństwo! Niemcy nie zagarną ani pię-
hwały Krzyżak zawsze odparty zostanie!
tatkim dostarczać będzie zboża na chleb,
szczy nie zabraknie zwierza, w barciach
wodach Bałtyku ryb o srebrzystej łusce
ynu...

ły wiankiem ognisko i białemi rękami
chych szczap smolnych. Ogień trzaska,
ń wznosi się coraz wyżej, het, ku mie-
y Litwy strzegą. Przy gorejącem ogni-
szaty jeszcze bielszemi się wydają; lica
m, w modrych oczach zapal gore, pobożne
w opiekę bóstwa i służą mu wiernie, z ser-
m!

da ma wianek ruciany,
szy sznur bursztynowy;
ek biały splywa z głowy,
uch w dzwonki obszywany
szulka z lnu żmudzkiego.
iana morska białego.

(*Witolorauda. Kraszewski.*)

więtych dziewic jedna wyróżnia się
To królowa pośród swoich dworza-
żubnic! Wianek na jej skroniaah,
iska, zda się być złotą koroną; wy-
przewyższa wszystkie towarzyszeki,
wa aż do ziemi i rąbkim trąca wrzo-
e.

iazdy oczyma, patrzy na płonące ogni-
ze sine, spogląda na ciemne niebo,
p księżycu, wysuwający się z za obłocz-
eśń:

bra tulisz pod swe senne skrzydła i ludzi
i rośliny, bądź błogosławiona!
ty łagodisz bóle i troski, krzepisz słabych,
owych zdrowym i silnym, bądź błogosławiona!
hociaż ty, czarna nocy, okryjesz ziemię swym
ość uśpisz całą przyrodę, nas, wajdelotek, do
szesz."

erne stróżki świętego ognia, zawsze czuwamy,
z ciężkich powiek, bo żar niebieski tleć musi
arzu wielkiej bogini."

vino, obronicielko Litwy, weź nas pod swoją
aj tve łaski na naszą ziemi

z płaczem, odprowadzili córkę jedyną do świętego gaju nad
morzem, poświęcili na usługi bogini.

Ze śpiewem Biruty łączą się głosy jej towarzyszek
i pieśń płynie wśród cichej nocy daleko, daleko! dąb podaje
ją dębowi, a fala fali...

Wtem zatentniły kopyta końskie, zabrząkły podkowy,
zachrzęsły zbroje i ukazał się hufiec rycerzy, jadących brze-
giem morza, od strony Kłajpedy.

To książę Kiejstut Giedyminowicz, pan na Trokach,
wraca z ziemi krzyżackiej. Widać udała mu się wyprawa,
bo wódz ma rozjaśnione oblicze, rozmawia łaskawie z otacza-
jącą go druzyną, a prawie każdy Litwin niemieckiego jeńca
wiedzie.

Już przejeżdżają około wzgórza, na którym święty
ogień płonie. Zatrzymali się na chwilę. Zwycięzcy, uchy-
lając bawolich kołpaków, oddają cześć bogini za opiekę nad
Litwą.

Na przodzie stoi Kiejstut, mąż silnej ręki i nieustraszo-
nej odwagi. Na piersiach błyszczy mu teutońska zbroja,
z ramion spływa niedźwiedzia burka, a w kołczanie ostre
strzały sterczą. Oblicze piękne otacza jasny zarost, i takież
włosy gęste, bujnie okalają odkrytą głowę. W jednej ręce
dzierży wodze srebrzyste, w drugiej kołpak i miecz obo-
sieczny.

(*d. n.*)

O WYWOŁYWANIU DUCHÓW.

(*Dokończenie.*)

Nietylko wszakże słowa na kartkach książki czernie-
jące, myśli w niej zawarte, posiadają tę moc czarodziejską
wywoływania duchów; jeżeli tylko na książkę potrafimy spoj-
rzeć uważnie, już nas natychmiast otoczy tłum duchów wiel-
kich, dobroczynnych. Książka przecież taka, jak ją dziś wi-
dzimy, nie odrazu powstała, złożyła się na nią praca długich,
bardzo długich pokoleń.

W niepamiętnych już czasach zamierzchłej przeszłości
nauczyci się ludzie pisać, gdy zapragnęli potomkom swoim
pozostawić pamięć o sobie, o swoich czynach i pracach.
Używali do tego pierwotnie różnych znaków, rysunków nie-
zgrabnych, a po wielu wiekach dopiero obmyślili alfabet
czyli abecadło, wyrażające znakami dźwięki, z których się
mowa nasza składa. Pisanemi tak głoskami mogli już myśli
swe wyrażać równie jasno, jak mową. Nie było jednak
jeszcze papieru; pisano więc, albo raczej ryto na skałach, gła-
zach, kamieniach, na płytach metalowych, na tabliczkach
glinianych, które potem wypalano w ogniu, by stwardniałe
tym sposobem cegły długo przechowywać się mogły. W in-
nych znów krajach pisano na liściach, na korze drzew, lub
raczej na łyku, czyli na warstwie, która w drzewach oddziela
właściwą korę od drewna; wyprawiano też do tego celu w od-
powiedni sposób skóry zwierzęce, które otrzymały nazwę per-
gaminu, a w Egipcie zaczęto wyrabiać dogodny materiał
z trzciny, zwanej papyrusem. W czasach wszakże znacznie
późniejszych dopiero poznano, że na wyrób papieru nadaje
się nie tylko trzcina egipska, ale również...

bezużyteczne. Rzecz jasna, że zanim brudne i pomięte szmaty przeobrażą się w biały i gładki papier, przechodzić muszą wiele rąk, a dopóki umiano papier otrzymywać jedynie ręcznie, była to robota długa i zmuDNA; przybyli wszakże w pomoc wynalazcy, którzy zbudowali odpowiednio maszyny, zastępujące bezpośrednią pracę rąk ludzkich. Maszyna do wyrobu papieru jestto zbiór przyrządów tak umiejętnie ze sobą złączonych i tak misternie poruszających się, że gdy z jednej jej strony przelewają się do maszyny rozdrobione i z wodą na miążgę pomieszane włókna szmat, z drugiej wysuwa się ciągły, nieprzerwany pas gotowego zupełnie papieru, istny papier bez końca, który się dopiero na arkusze przecina.

Na utworzenie książki papier jeszcze nie wystarcza; dopóki druku nie znano, nie było jeszcze książek, istniały tylko rękopisy. Chcąc posiadać dzieło znakomitego autora, należało je napisać. Kto się poci nad jedną stronicą kaligrafii, pojmie łatwo, ile czasu trzeba by było na przepisanie całej książki. Gdybyśmy taką książkę przepisana kupić zechcieli, należałoby za nią drogę zapłacić; ludzie tylko bardzo bogaci mogliby książki posiadać, jak w samej rzeczy niegdyś się działo. Znaleźli się jednak ludzie, którzy pragnęli, by książka stała się i dla biedniejszych dostępną, zaczęli więc wyrzynać całe stronicę pisma na drzewie, a deseczki te powlekali czarną farbą i przez naciskanie odbijali na papier. W ten sposób powstały niewielkie książki szkolne, ale chociaż odbijanie szło daleko prędzej niż przepisywanie, robota była jeszcze powolna, bo trzeba było przygotować tyle oddzielnych tablic rżniętych, ile książka zawierała stronic. Zrozumiano więc, że dogodniej jest wyciąć oddzielne głoski, potem ułożyć z nich wyrazy, związać razem, złączyć, a po odbiciu znów rozdzielić i użyć następnie do odbijania innej książki. I taka wszakże robota była jeszcze niedosyć pospieszną i zbyt kosztowną; zaczęto więc wyrabiać foremki i za pomocą nich odlewać litery, czyli raczej czcionki metalowe; skoro mamy przygotowaną foremkę na głoskę *a*, można już z niej otrzymać szybko tysiące czcionek. Z czcionek tych układają się formy czyli stronicę, które po powlечeniu farbą odbijają się na papierze działaniem prasy czyli tłoczni.

Podobnie, jak przy wyrobie papieru, prasy dawne działały ręcznie, czyli były poruszane ręką, ale w ten sposób można było dziennie zadrukować zaledwie ze trzysta arkuszy. Nad udoskonaleniem wszakże pras drukarskich pracowało wielu wynalazców, a dzięki niezmordowanej ich wytrwałości, posiadamy obecnie maszyny pospieszne, które w ciągu godziny wydrukować mogą dziesięć tysięcy i więcej nawet arkuszy. Z prawdziwym zachwytem przypatrywać się można, jak taka potężna maszyna drukarska chwytając papier czysty i bezzwłocznie wyrzuca, jeden za drugim, arkusze zadrukowane. Uprzytomnijmy sobie teraz, ilu to ludzi niegdyś na ziemi żyjących, ile pokoleń stopniowo złożyć się musiało na wynalazek maszyny tak cudownie działającej, a zgodzicie się, że ponad nią unosi się pamięć tych duchów potężnych, którym pokolenie dzisiejsze wynalazek ten zawdzięcza, z których pracy obecnie korzysta.

Co o książce mówiliśmy, odnieść można i do wszelkiego innego wynalazku. Każdą to wie, że gdy laskę laku sukmem natrzemy, nabiera ona własności przyciągania drobnych skrawków papieru, popiołu lub innych lekkich bryłek. Mówimy, że lak elektryzuje się przez tarcie. Gdy do tak natrzywanej laski laku w ciemnym pokoju zbliżamy palec, dostrzegamy słabą iskierkę, przeskakującą między laskiem a palcem; naszym. Zjawisko to znano już bardzo dawno, ale sądzono, że to drobnotka, na którą uwagi zwracać nie warto. Znaleźli się jednak ludzie, których drobnotka ta zaciekała, zajęła; zaczęli objawy te badać starannie, odkryli różne działania elektryczności, zbudowali maszyny elektryczne, coraz dzielniejsze, coraz potężniejsze, które dawały iskry coraz silniejsze, aż wreszcie, po wielu odkryciach zajaśniała nam dzisiejsza lampa elektryczna. Z ową pierwotną, ledwie dostrzegalną iskierką laku potartego zestawmy olśniewające światło lampy elektrycznej, a pojmiemy, jak olbrzymiej trze-

ba było pracy, by przeskok ten zapełnić, ilu uczonych, ilu wynalazców na nią się złożyło. Ze czcią i wdzięcznością wspominamy ich nazwiska, a duchy ich zjawiają się przed oczyma własnej duszy naszej i świadczą, jak pracą i wytrwałością człowiek coraz lepiej poznaje prawa natury i uczy się z nich korzyść odnosić.

Gdy woda gotuje się w garnku, powstająca para prężnością swoją podrzuca pokrywkę; ze spostrzeżenia tego wyrosły maszyny parowe, które zastępują pracę tysięcy ludzi. Gdy przed płomieniem świecy trzymano szkiełko wypukłe, lub choćby tylko karafkę kulistą, wypełnioną wodą, na przeciwległej kartce papieru rysuje się obraz płomienia; zabawka ta dała początek fotografii. Ale żaden wynalazek nie wyskoczył nagle, każdy był rezultatem wytrwałej pracy wielu ludzi.

Sam może pragnąłbyś stanąć w rzędzie wynalazców, budzi się może w umyśle twym niekiedy pragnienie dokonania jakiegoś odkrycia. Zestawiasz kółka i pręciki, łączysz je ze sobą, coraz inaczej układasz i sądzisz, że z tego zbudujesz jakiś przyrząd użyteczny. Prózne usiłowania, — nic nie zbudujesz, jeżeli nie nauczysz się ze zmarłymi rozmawiać, dopóki ci oni nie opowiedzą, co sami zrobili i nie nauczą cię, jak masz dalej postępować.

Tych, co kręcą stoliki, duchy nie słuchają i na wezwanie nie stają, ale przybywają chętnie, gdy posiadamy tajemnicę czarodziejskiego ich zaklęcia. Tajemnicę tę pragnęłam tu rozjaśnić. Każda nauka jest rozmową ze zmarłymi, — oświeca nas i uszlachetnia.

S. K.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Słuchali też i panowie przybyli z rozbawionem w tej chwili chłopięciem, a nawet jejmość otyła i ten, co przestrzegając młodzieńczyka, zdawał się mieć największe wśród przybyłych zachowanie, wsłuchiwał się z podziwem i zapomniał na chwilę o przestrożach, jakie czynił wciąż na migi swemu wychowawcowi.

Wreszcie Kazik zmęczony bieżaniem, stanął w kącie i dokończył śpiewu-mruczenia, coraz cichszym głosem, jak gdyby się do snu kołysał, potem zrzucił z siebie ową skórę niedźwiedzia, otarł pot z czoła i kłaniając się przybyłym — zawołał:

— Witam waszmościów w imieniu nieobecnego jaśnie wielmożnego kasztelana, a mego wielce miłośniwego opiekuna, a jakakolwiek przygoda was w tę progę przygnała, ja ze swej strony cieszę się; primo, że to nie jaśnie wielmożny kasztelan którego przyjazd przerwałby imci panu Sulpicyuszowi, wielkiemu naszemu kapelmistrzowi przygotowanie surpryzy, secundo, żeście rzucili niedźwiedzia — dodał, wskazując na leżące futro — które mnie od rozbicia uchroniło; tertio, żeś się setnie zabawiał a też i młodzieńczyka, którego kiedyś ja jakkolwiek nieświadom jestem, widzę, że musi być znaczna, bo o ile zauważyłem w wielkiej konsyderacji u waszmości panów pozostaje.

— Co on mówi? — zapytała dama po włosku, wspinając się na palce. Lecz pan, który się młodzieńcem opiekował, zdawał się nie słyszeć tego pytania, tylko przystąpił do swego wychowawcy i coś pociechu doń mówił.

Tymczasem Kazik po swej przemowie znów się uklonił na wszystkie strony, a młodzieńczyk patrząc nań zdala, rzekł z niezwykłą, swemu dziecięcemu wiekowi, powagą:

— Dziękujemy waszmości, możesz być naszej łaski pewny.

— Wszyscy spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co myśleć o tem odezwanu się chłopięcia, a on przybliżywszy się do swego ochmistrza z miną uradowaną zawołał:

— Mści Piotrze Opaliński, ta zawieja dobrze nas zawiodła.

Lecz pan Opaliński jakkolwiek z uszanowaniem spojrział, dość jednak surowo na swego wychowanka i rzekł:

— Nie można tak hałasować!

— Nie gniewajcie się na mnie! — rzekł tenże. przymilając się, i wziął go za rękę.



„Bajadery indyjskie.

— I w zabawie trzeba mieć pomiarkowanie — odparł ochmistrz.

— Dobrze — odpowiedział młodzieńczyk.

Lecz odwróciwszy się zaraz, pochwycił jedną ręką Anusię, a drugą Jadwisię i stojąc tak między nimi, zawołał:

Pójdźcie, pobawimy się jeszcze!

A w co? — zapytała Jadwisia.

Sama powiedz — odrzekł.

— Nie czekając aż dziewczynka wymyśli zabawę, znów zapytał:

— A jak ci na imię?

— Jadwisia, a mojej siostrze Anusia.

— A tobie? — spytała młodsza kasztelanka, przypatrując się jego błękitnej, aksamitnej, wyszywanej złotem sukience.

— Zygmunt, przecież to wszyscy wiedzą!

— Będziemy się bawić w chowanego — zaproponowała Jadwisia.

Lecz chłopiec zamiast przystać na to, zawołał, wskazując na wniesienie.

— A to co, czy to Dzieciątka Jezus? a ci—w tych płaszczach? a ci, czy to pasterze? — pytał wciąż nie czekając odpowiedzi i wskazał na przebraną młodzież, stojącą w rogu komnaty i onieśmioną przybyciem tak licznych gości.

Dziewczynki jąły mu opowiadać, że czynią przygotowania na imieniny ojca, lecz przybyła z młodzieńcem dama przerywała im ciągle rozmowę, obcą mową starała się nakłonić chłopca do zaprzestania gawędy. Kilka razy nawet brała go za rękę i bardzo dyskretnie chciała od towarzystwa usunąć. Lecz młodzieńczyk robił nadąsaną minkę, a czasami spoglądał na nią z wielką wyniosłością.

Dama dygała przed nim bardzo układnie, niemniej mówiła coś bardzo prędko i znać, że z postępowania chłopca wcale nie była zadowolona.

— Trzeba być posłusznym, Zygmusiu — rzekła łagodnie Jadwisia. I z siostrzaną troskliwością pogładziła go po cienkich włosach.

Nie rozumiała wprawdzie tej mowy, z gestów jednak domyśliła się, że pani ta żąda czegoś, czego chłopiec nie chce uczynić i chciała go ku temu nakłonić.

Przybyła zaś miasto być wdzięczną za pomoc, odsunęła ją dość niegrzecznie i cała zaczerwioniona zaczęła do niej prędko mówić, usiłując odprowadzić Zygmunta.

Lecz ten cały zaperzony, z zaiskrzonymi oczyma odpowiadał jej również szybko tym samym językiem, którym do niego przemawiała.

Kasztelanki przestraszone gwarem obcej dla siebie a dość głośnej mowy, przytuliły się do imci pani Antoniowej a chłopiec tupnąwszy nogą i wyciągnąwszy rękę przed siebie, zawołał po włosku:

— Nie pozwolę obrażać moich przyjaciół!

Dama cała zaczerwioniona jeszcze głośniej krzyknęła, i Bóg wie do czego by doszło, gdyby pan Piotr Opaliński nie był się wdał w tę sprawę.

Z początku zdala przysłuchiwał się naukom, jakie Włoszka dawała wspólnemu ich wychowawcowi, teraz jednak przybliżył się, a spojrzawszy dość surowo na chłopca, rzekł przyciszonym głosem:

— Proszę się uspokoić!

Chłopiec zrobił niezadowoloną minę, uciekł jednakże, spojrzawszy tylko niechętnie na swą wychowawczynię.

— Proszę się uklonić siniorze Alenini i powiedzieć: bardzo przepraszam! — mówił dalej łagodnym, lecz przekonującym głosem ochmistrz.

Chłopiec w pierwszej chwili z całą krnąbrnością potrząsnął głową i cały zaczerwioniony chciał coś odpowiedzieć, lecz pan Opaliński spojrzawszy znów na niego surowiej i zda się tym wzrokiem przyprowadził go do porządku. Chłopczyzna bowiem spuścił oczy ku ziemi i rzekł:

— Pardon!

Tymczasem w całym dworze robiło się coraz gwarniej, jeden drugiemu podawał jakąś wieść na ucho, dobiegała ona do głównej komnaty, gdzie się zabawiano, a pan Sulpicyusz zasłyszawszy wieść ową, zawołał:

— Ależ ja muszę z moją kapelą!

I wybiegł copędzej.

Poprzebierani młodzieńcy zaczęli się też wymykać chociażem, spoglądając ukradkiem na przybyłego chłopczyka, tylko Kazik tak się jakoś zapomniał, iż zamiast iść za innymi, stanął w najciemniejszym kącie komnaty i nie zrzuciwszy swego pasterskiego stroju, począł przygrywać jakąś pieśń na swojej piszczałce.

— Ach, jaka ładna muzyka! — zawołał Zygmus.

I zapomniawszy o całym zajściu i nieprzyjemności, jaka go spotkała, pobiegł w stronę skąd dochodziły dźwięczne tony piszczałki.

Wtem pan Ignacy wystrojony świątecznie, ukazał się we drzwiach, a skłoniwszy się na wszystkie strony, zbliżył się do pana Opalińskiego i rzekł:

— Już wszystko gotowe, czy mogę go osobiście do wieczery zaprosić?

I wskazał na chłopczyka, stojącego przed grającym wciąż Kazikiem.

— Pozwoli waszmość, lecz sam to uczynię dziecko było nieco krnąbrne, nie mogę pozwolić na oddawanie mu w tej chwili honorów, odpowiedział pan Piotr łagodnie.

Panu Ignacemu twarz się przeciągnęła, lecz jako prawdziwy dworak nie dał po sobie poznać, że mu to przykrość sprawiło.

— To niech i oni idą! — rzekł chłopiec również stanowczym głosem.

I mimo, że siniora Alenini mówiła doń coś bardzo przekonywająco, on nie zważając na to obejrzał się i zawołał:

— A gdzie Jadwisia i Anusia? ja chcę, żeby i one poszły... i ten co grał, także — dodał, wskazując na Kazika, który mu się ciekawie przypatrywał.

— Nie mówi się „chcę” — odrzekł surowo ochmistrz.

— Ja proszę, bardzo proszę! — zawołał z przymileniem chłopczyzna, ujmując rękę ochmistrza. — Będę już grzeczny, bardzo grzeczny, tylko pozwólcie niech przyjdą do wieczery dziewczynki i ten co udawał niedźwiedzia.



Walka odyńców.

Uklonił się tylko i rzekł na pozór spokojnie:

— Jak wola waszmości.

I na bok się usunął.

Opaliński tymczasem przystąpił do przysłuchującego się muzyce chłopczyzny i rzekł:

— Pójdziemy na wieczerę!

— Ale po wieczery będziemy się jeszcze bawili? — zapytał Zygmus.

— Nie, udamy się na spoczynek, przed świtem musimy wyruszyć w dalszą drogę.

— Jakto, nie zostaniemy tu dłużej? ja chcę się z nimi bawić!...

— Proszę iść na wieczerę! — odparł stanowczo ochmistrz.

Ochmistrz spojrział na niego raz jeszcze a czy zmiękczonej prośbą dziecka, czy też powodowany innymi względami, rzekł:

— Owszem, pozwalam, niech przyjdą!

Lecz w komnacie nie było dziewczynek. Pani Antoniowa, gdy zaczęto sobie szeptać jakieś wieści o przybyłych gościach, uprowadziła je zaraz.

— Niedźwiedziu, pójdz ze mną, poszukamy Jadwisi i Anusi! — rzekł Zygmus, biorąc za rękę Kazika.

Siniora Alenini ogromnie zgorzona postąpiła tuż za nim, nie miała jednak czasu zrobić mu jakiegokolwiek uwagi, bo w tej chwili obie kasztelanki w tychże samych białych szatach co pierwej, tylko z rozkręconymi loczkami, weszły

do komnaty, niosąc wielką tacę, okrytą białym obruskim. A dygnawszy przed chłopczykiem, rzekły:

— Przyjmij najjaśniejszy królewiczu chleb i sól w domu naszych rodziców.

Anusia zaś szepnęła:

— Tam w komnacie jadalnej są doskonałe pierniczki i orzechy!

Zygmunt uklonił się bardzo grzecznie i rzekł, dotykając tacy:

— Niedźwiedziu, weź tacę, pójdziemy na pierniczki.

A miodu do orzechów dostanę? — zapytał.

I wzięwszy za ręce dziewczynki, pobiegł z niemi do jadalnej komnaty.

(d. c. n.)

BAJADERY INDYJSKIE.

Do najulubieńszych widowisk w całych Indyach Wschodnich należą tańce i śpiewy bajader, wykonywane przy odgłosie niezbyt wymyślnych instrumentów, jakie widzimy w rękach dziewcząt, wyobrażonych na rycinie naszej.

Nazwa ich: bajadera, pochodzi od portugalskiego wyrazu *bailadeira*, oznaczającego tancerkę. Nie są one jednakże jedynie tancerkami, lecz zarazem śpiewaczkami i muzykantkami, szukającymi zarobku w bawieniu niewymyślniej publiczności; są też między niemi i takie, które zdolności swoje poświęcają dla uświetnienia uroczystości religijnych i stąd nazywają się „*Deradusi*”, czyli niewolnice bogów. Śpiewaczki i muzykantki wyróżniają się podobnie odrębnymi tytulami.

Nad wędrującymi bajaderami, stanowiącymi trupy, złożone z dziesięciu lub dwunastu kobiet, sprawuje zwykle dozór stara tancerka, zwana „*Dajas*”, która zapewnia im utrzymanie z zbieranego wśród publiczności zarobku.

Stroje bajader bywają niezmiernie malownicze, a śpiewom i tańcom towarzyszą wymowne pantominy, wyrażające naprzemian uczucia tęsknoty, oczekiwania, żalu, lub szalonej radości.

DZIKI.

Do zwierząt, objętych ogólną nazwą „gruboskórnych”, odznaczających się wyjątkowo grubą skórą, a ciężką niezgrabną postacią, dochodząca u niektórych gatunków olbrzymich rozmiarów, należy *dzik*, czyli dzika świnia, mająca tak dużo podobieństwa z naszą domową, że niektórzy naturaliści uważają tę ostatnią za odmianę tylko, powstałą pod wpływem oswojenia i odpowiedniej hodowli.

O wiele większy wszakże od domowej naszej trzody dzik, różni się jeszcze kościstszą budową ciała, którego zwłaszcza przednia część szczególnie jest rozwiniętą, oraz dłuższym, silniejszym ryjem, sterczącymi uszami i w górę wystającymi z pyska ostremi kłami, które stanowią niebezpieczną broń podrażnionego, a bardzo silnego zwierzęcia. Pokrywający go włos, szczecina zwany, jest długi i najeżony, brunatnej barwy zmieszanej z białą, mianowicie na przedniej części głowy.

Dziki trzymają się jedynie okolic bogatych w gęste obszerne lasy, gdzie mają swe legowiska, które rzadko we dnie opuszczają, udając się na żer dopiero o zmierzchu. Stare samce, *odyńcami* zwane, żyją samotnie i jak to ma miejsce wśród innych gatunków dzikich zwierząt, staczają między sobą zawziętą czasem walkę. Chwilę taką

wzajemnej napaści przedstawia nam załączona tu rycina. Samice łączą się w liczne stada i wspólną siłą zawzięcie bronią swego potomstwa, przy czem okazują tyle odwagi, iż stają się dla napastnika bardzo niebezpieczne.

Pożywienie dzików składa się z żołądźi, bukwi, korzonków roślin, liszek i owadów, których wyszukują, ryjąc dookoła. Należąc wszakże do wszystkożernych, podobnie jak nasza świnia, nie gardzą też mięsem zwierząt, jeśli takowe zdobyć potrafią. Dla rolnika obecność dzików równa się istotnej pladze, bo gdy całe stado wypadną na pole, zryją i stratują to, czego nie zdążą pożreć. Lecz oddawna urządzone przez myśliwych obławy, oraz brak lasów, wytepiły w Europie te zwierzęta do tego stopnia, że dzik poczyna już być i u nas rzadkością. Natomiast w Afryce, na wybrzeżach Gwinejskich, w kraju Kafrów i na Madagaskarze, żyje jeszcze w wielkiej liczbie *Potamocheirus*, czyli „świnia rzeczna”, mniejsza nieco od naszego dzika, lecz brzydszej powierzchowności. Ze sterczącymi wyrostkami poniżej oczu, z pyskiem znacznie dłuższym, dwoma parami silnych kłów i wielkimi również stojącymi uszami, które przedłużają jeszcze suty u końca pendzelek grubej sierści. Zauważono też wielką u niego różnicę zabarwienia sierści, która przechodzi od białej do ciemno-czerwonej, wzdłuż zaś grzbietu jeży się gęstą grzywą całkowicie białą. Młode z krótszym włosem na głowie, zdobne są w podłużne jasne i ciemne smugi.

Potamocheirus afrykańskie żyją gromadnie w miejscach błotnistych, które opuszczają o zmierzchu, dla szukania żeru na polach uprawnych. Spustoszenia, jakie sprawiają tam, są tak znaczne, że biedni murzyni oraz koloniści europejscy ciągle z niemi staczą walki, które, zważywszy ilość zwierza, oraz zaciekłość jego i podwójne uzbrojenie w kły, są jeszcze niebezpieczniejsze, aniżeli obławy na nasze dziki. Utrzymują też, iż *potamocheirus* uchodzi nieraz zwyciężko nawet z lwich pazurów.

Oprócz wyżej wymienionych, żyje jeszcze w Ameryce znacznie mniejsza odmiana dzikich świń *Pekari* zwana, a obok niej *Savalino* czyli świnia pizmowa, do rasy świń angielskich podobna. *Pekari* trzymają się również w licznych gromadach, niezawodnie dla skuteczniejszej obrony przed nieprzyjacielem.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Oho! już mnie nikt tego nie wytłumaczy — mówił, śmiejąc się ciągle dziadunio. — Mirski człowiek bogaty, mając jedyną córeczkę, musi jej dogadzać, psuć, rozpieszczać; pannenka się rozgrymasiła, rozleniwiała, rozlubowała w miękkim próżniactwie, stąd choroby, osłabienie, więc jako antydotum, doktor Bobrowicz wymyślił pobyt na naszej Polance, zamieszkaney przez same pracowite pszczoły. I śmiejącami oczami wodził za Zosią, która nie przestawała się krzątać, biegając od stołu do kredensu.

— Jeżeli tak jest, jak dziadunio słusznie przypuszcza, to lepiej nie wpuszczać tutaj tej panny Mirskiej — odezwał się Staś dotąd milczący.

— Bo co? — spytał dziadunio.

— Bo, proszę dziadunia, jeżeli to jaka kapryśnica, rozgrymaszona dziewczyna, to nam wszystkim da się we znaki.

— Fil! paniczu, takiejżeś to tchórzliwej natury, żeby się lękać jednej rozkapryszonej dziewczyny — zawołał, śmiejąc się dziadunio.

— Może masz rację, mój Stachu — wyrzekła pani Skalska — ale z drugiej strony pomyśl tylko, że ten biedny ojciec ma ją jedną, że jest o nią pełen troski i obawy, i że my, jeśliby nam się udało pomódz mu w przywróceniu jej zdrowia, czy to w znaczeniu fizycznym, czy moralnym, spełnilibyśmy czyn dobry i użyteczny.

Staś nie odrzekł.

— Zresztą możemy spróbować — mówiła dalej pani Skalska. — Jeżelibyśmy uważali, że jej pobyt w naszym domu jest dla nas przykry, lub uciążliwy, nic nam nie będzie przeszkadzało uchylić się w tejże chwili od tego. Jakże myślisz, Andrzeju? — zwróciła się do męża.

— Zrób jak uważasz za stosowne, moje życie, to będzie najlepiej — wyrzekł pan Skalski, całując żonę w rękę.

Nie było też więcej mowy o tej kwestyi.

Zosia tymczasem, załatwiwszy się ze swoim zajęciem, odpasala fartuszek, wzięła ogromny ogrodowy kapelusz na głowę, płócienne rękawiczki, które sobie sama uszyła na ręce i wybiegła, aby się połączyć z towarzyszkami, które przysłały po nią Romcia.

Podczas lata towarzystwo było zaws o bardzo liczne na Polance, a to z powodu, że pan Skalski, człowiek rozumny i przemyślny, korzystając z pięknego położenia swego folwarku i łatwej komunikacji z miastem, wybudował kilka ładnych domków, które wynajmowano na letnie mieszkania przybyszom z miasta. Dawało to znaczny dochód właścicielowi Polanki, tembardziej, że wszystkie produkta gospodarskie, jak nabiał, warzywo, drób, owoce, znajdowały na miejscu zbyt łatwy i pewny. Ogrodu zaś tak urządzonego jak na Polance, nie było na kilkanaście mil w okolicy, nawet w dużych majątkach. Było to arcydzieło dziadunia, który we włóczędztwie swojej po świecie, będąc, jak to mówią na wozie i pod wozem, przebywał długi czas za granicą przy znakomitym ogrodniku, nabrał wielkiego zamiłowania w ogrodnictwie i za powrotem do kraju zastosował nabyte wiadomości, na swoim małym kawałku ziemi. Od czasu jak się młodszy pan Skalski ożenił, dziadunio zdał całe gospodarstwo na syna i synowę, ale urządzenie ogrodu zatrzymał dla siebie. Od rana do nocy zajęty był pielęgnowaniem drzew owocowych, kwiatów i jarzyn.

Zosia wybiegła za bramę, skierowała się drogą w stronę lasu. Minawszy staw, znalazła się na niewielkiej równinie, po której leżały porozrzucane domki, należące właśnie do państwa Skalskich, a wynajmowane gościom z miasta. Naprzeciw niej biegła panienka w jej wieku, z rozartaganymi nieco włosami, bez kapelusza, wołając zadyszczanym głosem:

— Aha! dobrze, że idziesz, ale gdzie twój bracia, Staś i Janek? Wyobraź sobie co zrobił ten Zygmunt, zgubił wiosło, ślicznie się spisał.

— Przepraszam pannę Stanisławę, to nie ja zgubiłem wiosło. Ja wcale nie jeździłem dzisiaj łódką, tylko Henryk z Karolem.

Przed niemi stał chłopiec w wieku Janka Skalskiego i tłumaczył się w ten sposób głosem bardzo uroczystym i z obrażoną miną.

Panienka z rozartaganymi włosami nie zdawała się tem wystąpieniem wcale zmieszana.

— Wszystko mi jedno, pan, czy pan Karol, czy pan Henryk, dość, że wiosła niema. Ja pół dnia jeżdżę po stawie i wiosła nie zgubię, wy jeździliście z rana sami i wiosło zginęło.

— Ależ jest! ależ jest! — dały się na raz słyszeć dwa głosy. I Henryk z Karolem ukazał się, każdy z wiosłem na ramieniu jak z karabinem.

Zapalczywa panna Stanisława roześmiała się głośno.

— Jest? a po... dobrze. Przygotujcie czółno, ja po... chce jechać łódką, a kto nie.

Chłopcy zabrali się do spełnienia rozkazu energicznej osobki, oprócz Zygmunta, który miną obojętną i pełną godności dawał do poznania, że czuje się obrażonym za przewisko mazgają i nie myśli się wcale stosować do cudzego rozkazu.

Tylko nieszczęście, że roztrzępana dziewczyna nie widziała nic z tego, rzuciwszy Zosi pytanie: Zosiu! jedziesz z nami? i nie czekając odpowiedzi, pobiegła jak wichura w stronę osady. Naddiegli Janek i Staś Skalscy i wszyscy chłopcy zaczęli się nmawiać, kto będzie wiosłował i kierował łódką.

Zosia szła dalej. Przed jednym z domków ujrzała na ławeczce panienkę w swoim wieku, o cerze żółtej, mizernej, która z brodą opartą na rękę siedziała nieruchomo, z miną gniewną i zmarszczonem czołem.

— Zeniu! — zawołała — czy pojedziesz łódką na staw?

— Ani myślę — odpowiedziała tamta opryskliwie.

— Dla czego?

— Wielka rzecz łódką! gdybym chciała, kupiłabym sobie za swoje pieniądze dziesięć takich łódek, nie jedną.

— Oho! — pomyślała Zosia w duszy. — Zenia musiała się znów na kogoś pogniewać. Kto wie, czy nie pokłóciła się ze Stasią.

Podejrzanie jej nabierało pozorów słuszności, gdyż równocześnie ukazała się Stasia w gronie dwóch czy trzech towarzyszek i jednej dorosłej osoby, jak się zdaje nauczycielki, którejś z tych panien; przebiegła około Zeni i nie zwróciła na nią uwagi, wołała tylko na Zosię, dając jej znaki porozumienia.

Ale nie żadnej to z jej towarzyszek szukała Zosia, rozglądając się pilnie na wszystkie strony; nareszcie ujrzała pod lasem jakąś gromadkę i z błyskiem radości w oczach podążyła w tamtą stronę.

Na skraju lasu siedziało na ziemi kilkoro dzieci, chłopczyków i dziewczynek, a pomiędzy niemi panienka może sześciastoletnia, trzymając obok siebie niedużą dziewczynkę w żalobie.

Dziecko było blade, mizerne i tak smutne, że aż żal się robiło patrzeć na tę twarzyczkę, tak przedwcześnie zgnębiającą; panienka miała rysy łagodne, ujmujące wielką słodyczą i niepospolitą pięknością.

— Jak się masz, Ludwiniu!

— Jak się masz, Zosiu! — powitały się, ściskając sobie ręce. — Domyśliłam się, że przyjdiesz — mówiła Ludwiniu. — Dziś urządzały sobie wycieczkę po zioła i kwiaty, które zasuszamy, a następnie będziemy je naklejać na ramki do fotografii, laurki z powinszowaniem i tym podobne rzeczy.

— Narwiemy paproci! — zawołała jedna z dziewczynek.

— I róż polnych! — zawołała inna.

Radość, uciecha, nadzieja miłego zajęcia ożywiła całe to drobne gronko. Bo też nikt tak jak Ludwiniu nie umiał zająć, ożywić, zabawić dzieci. Była ona niby mateczka dla całej tej gromadki; dzieci kochały ją bardzo i były jej we wszystkim posłuszne. Ludwiniu opowiadała im bardzo zajmujące rzeczy, objaśniała im, w jaki sposób należy zbierać zioła, w jaki sposób suszyć, w jaki sposób wyłomaczyć. Gdy wyszła przed siebie, matka, ze wszystkich stron, zaczęła ją do siebie przyciągać, i sama ją przytuliła.

zaledw...

była...

dzo...

z...

...

koch...

stąpi...

ka, tak...

kojne,

Ponieważ lekarze zalecili dla małej świeże powietrze, siołka wynajęła mieszkanie na Polance w nadziei, że liczne towarzystwo dzieci w wieku Julci rozweseli ją i rozrusza. Ale Julcia nie lgnęła wcale do zabaw z innymi dziećmi — smutna, nieśmiała, trzymała się zawsze na uboczu, co widząc, inne dziewczynki nie zapraszały jej wcale.

Julcia całymi godzinami siedziała sama jedna w cieniu drzew na skraju lasu, zapatrzona w różowe wrzosa wznoszące się na pagórku, czasami płakała z tęsknoty za swoją mamusią, czasami spoglądała z daleka na bawiące się wesoło dzieci.

Tak siedzącą zaszła ją raz Ludwinia.

— Dlaczego, malutka, siedzisz tu tak sama, a nie po-
niegniesz bawić się z innymi dziećmi? — spytała jej ze słody-
żą w głosie.

Dziewcina podniosła na pytającą swoje duże, pełne smut-
ku oczy.

— Bo ja nie umiem się bawić tak jak one — odrzekła
icho.

— Dla czego?

— Nie wiem.

— Może które z tych dzieci przykrość ci zrobiło?

— Nie, tylko Helcia, Zosia i Józia, jak się nabawią,
o biegają każda do swojej mamusi, a ja już nie mam mamusi
wcale.

Ludwisia usiadła przy niej na ziemi pokrytej trawą
wrzosami i tuliła ją ramieniem.

— Jak ci na imię, dziecino? — spytała.

— Mamusia wołała na mnie Julinko, ale teraz wołają
na mnie wszyscy Julciu.

— A mnie pozwolisz wołać na siebie — Julinko?

Dziecko spojrzało na tę twarz prześliczną, na której
nalowała się dobroć i słodycz i odrzekło, potrząsając
główką:

— Tak!

Odtąd Ludwinia zajęła się przedewszystkiem małą Jul-
cią, która mając lat dziewięć, wyglądała na sześciolatnie
dziecko.

Dziewczynka przywiązała się nadzwyczajnie do dobrej,
rozumnej, ślicznej Ludwini i towarzyszyła jej wszędzie jak
cień. Zdaleka, kiedy nie można było jeszcze rozróżnić ry-
sów, poznawano Ludwikę po tej małej towarzysze, z którą
szła najczęściej trzymając ją za rączkę. A wpływ Ludwini
okazał się pod każdym względem korzystnym dla małej.
Umiała ją uspokoić, zająć, wciągnąć w towarzystwo innych
dzieci, organizując rozmaitego rodzaju wycieczki, które małą
gromadkę przejmowały radością.

I teraz wszystkie dzieci, zaopatrzone w koszyczki, udawa-
ły się pod przewodnictwem Ludwini na zbiór kwiatów i liści,
im piękniejszy kwiat kto znalazł, im osobliwszego kształtu liść
tem większa radość i tryumf. A potem Ludwinia takie prze-
śliczne rzeczy umiała opowiadać o tych roślinkach z pola
i lasu, iż dzieciom zdawało się, że nie takie tam sobie
wycieczki, że to nie takie istoty; na te
z porozumie-

Dzieci ruszyły gromadką, niosąc koleją po dwoje na
zmianę większy kosz, w którym mieściły się bułki z masłem,
chleb z miodem i inne zapasy na podwieczorek, przytem
szklaneczka, gdyby się komu pić zachciało; o wodę nie było
kłopotu, bo źródółko płynęło w lesie.

Dzieci pod przewodnictwem Ludwini i Zosi zapuściły
się w środek lasu.

Co prawda niewielki plon zebrałyby po drodze w roślin-
kach i kwiatkach, pomimo troskliwych poszukiwań, gdyby
Ludwinia nie skierowała mimochodem ku niewielkiej pol-
lance, zarosłej brzegami laszczyną. Tutaj okazał się
prawdziwy las skarbów w kształcie kwiatków różowych, bia-
łych i lila. A co za liście prześliczne! Oto zielony, porośły
drobnymi włoskami, od spodu wydaje się jakby podbity bia-
łym futerkiem; to znów lśniący jak z blachy, wąski, podłużny,
cały kropkowany. Dzieci biegły jedno przed drugim, na-
woływały się wzajemnie, pokazując sobie okazy osobliwe, to
znów biegły do Ludwini z całymi wiązkami kwiatów, chcąc
zasięgnąć jej zdania. Jedna mała Julcia nie byłaby zebrała
takiego jak inne dziewczynki bukietu, gdyż nie śmiała ubiegać
się z towarzyszkami i towarzyszami w pogoni za zdobyczą, ale
Ludwinia umiała ją tak prowadzić, wskazując czasami to co
było ładnego do zerwania, że w końcu i ona miała tak ogro-
mny bukiet, iż nie mogła go prawie objąć swymi drobnymi
rączkami.

Dzieci były tak zajęte, iż zapomniały o podwieczorku
i trzeba je było nawoływać. Następnie wszystkie usiadły
na ziemi, tworząc wielkie koło i nastąpiło rozdzielanie
roślin. Ludwinia nauczyła je doskonale zasuszać kwiaty
i liście. Gdy wrócą do domu, zrobią to bezwątpienia. A po-
tem, ale! te ramki, laurki, abażury! Cały ogród na kloszu,
gdy się lampa zapali, aż się serce raduje na myśl samą co to
będzie.

Tymczasem mrok zaczął zwolna zapadać i czas już było
wracać do domu. Cała gromadka postępowała wesoło, oży-
wiona i nie znieczona wcale.

Gdy wyszli na skraj lasu, na niebie świecił już blade
róg księżycy i odbijał się w stawie.

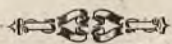
— Weź chusteczkę, Julinko, bo rosa pada, możesz się
zaziębić — powiedziała Ludwinia. I otuliła dziecko tro-
skliwie.

Po drodze gromadka coraz się zmniejszała. Przed ka-
żdym domkiem oddzielało się jedno, dwoje dzieci.

— Dobranoc!

— Do widzenia! — wołano z jednej i drugiej strony. —
W końcu pozostały same tylko przewodniczki: Zosia i Ludwin-
nia z nieodstępującą ich dziewczynką w żałobie.

(d. c. n.)



RATA WYNOŚI:

osownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron,
osownie do tego półroczna i kwartalna.

Wazowiecka Nr. 10 NOWY.

K. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. —
lance, powieść przez E. Jerlicza. — Dodatek: Ktoś, wiersz. — U cioci
nny. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek
ozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



K T O Ś.

śniegu, w kątku u komina,
Na wysokim dachu,
Drżąc, tak skarży się ptaszyna,
Wpół martwa ze strzechu:
„O, ja biedne, małe ptaszę,
Cóż ja dalej pocznę,
Kiedy wszystkie łany nasze,
Wichry szarpiają mroczne?

Nigdzie trawki ni ziarneczka,
Ani kropli wody,
Pola białe, biała rzeka,
Wszędzie śnieg i lody.
Już mi przyjdzie zginąć z głodu,
Zmarznąć na śmierć pewnie,
Nie zostanie z ptasząt rodu
Komu kwilić rzewnie.

O nieszczęsna ta godzina,
W której ptaszek biedny,
U zimnego drży komina,
Bez kruszynki jednej.
Tak świegoce ptak żałośnie;
W tem z okna dziewczeczka
Mnóstwo ziarenek jak o wiośnie
Sypnie w śnieg z woreczka!

Codzień potem z okieneczka
Żywią się ptaszęta,
Bo ktoś (nie wiem czy dziewczeczka?)
O biednych pamięta!

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Teraz zamienimy go na wiszącą torebkę; otwórzcie go i umieśćcie dwa końce *d* jeden na drugim (fig. 40). Nawijmy górny czubek *b*, dolny zaś *a* i załóżmy *a* do środ-



fig. 40.

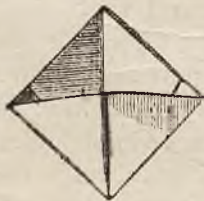


fig. 41.



fig. 44.



fig. 45.

ka, a odwróciwszy figurę będziemy mieli wiszącą torebkę; przyczepiwszy do niej tasiemkę, będziemy ją mogli zawiesić na ścianie (fig. 41).

— To bardzo ładna torebka — rzekła Elżbietka.
— Zaraz zrobimy magiczną torebkę. Wróćcie do poprzedniej figury (fig. 40), załóżcie *a* na *b* z jednej strony i tak samo z drugiej — rzekła ciocia.
— Zrobił się znów kapelusz — zawołała Elżbietka.
— Rozłóżcie go tak, jakbyście chcieli włożyć go na głowę, i złożcie rogi jeden na drugim (fig. 42) a teraz złożcie go na pół tak, aby *a* było na *b*.
— Prawda, że to wygląda jak torebka — rzekł Henryś — ale dla czego nazywa się magiczna?
— Zaraz zobaczysz. Kto mi pożyczyci grosz? — spytała ciocia.

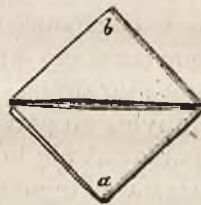


fig. 42.

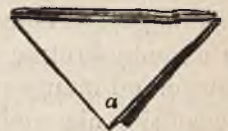


fig. 43.

— Może ten guzik go zastąpi? — rzekł Kazio.
— Wyborny, to lepsze niż grosz. Włóż go do jednej z tych dwóch torebek — rzekła ciocia, trzymając dolny róg *a* (fig. 43) swojej magicznej torby, w dwóch palcach lewej ręki.

Henryś włożył guzik, a ciocia Polcia obróciła szybko w palcach trzy razy torebkę, wołając:

— Hej, zniknij czempredzej.

Poczem pokazała dzieciom torebkę, pytając, gdzie jest guzik. Lecz guzika nie było ani śladu. Dzieci patrzyły zdumione.

— Hej, pokaż się czempredzej! — zawołała ciocia, przekręcając znów bardzo szybko torebkę. Guzik leżał na dnie.

— To naprawdę magiczna torebka — zawołał Henryś. — Jak się to dzieje.

— Zdaje mi się, że ja wiem — wykrzyknęła Elżbietka, biorąc zabawkę do ręki. — Wszak tu są cztery torebki, dwie z każdej strony?

— Tak — odrzekła ciocia — i w tem cała tajemnica. Gdy chcę żeby guzik zniknął, obracam prędko torebki i pokazuję wam tę stronę, gdzie go niema i odwrotnie.

— Pokażę to chłopcom w szkole — zawołał Henryś.

— A teraz zrobimy jeszcze jeden żaglowy statek — rzekła ciocia. — Weźcie magiczną torebkę, obróćcie ją

tak, jak to wskazuje fig. 44, a ujawszy ostrożnie za rogi *a* i *b* pociągnijcie w każdą stronę!

— Przepyszny żaglowiec—zawołał Kazio fig. 44 i 45.

— Umiemy robić cztery gatunki statków — rzekła Elżbietka — możemy wybudować całą flotę.

— To już wszystko co można zrobić z papieru? — spytały dzieci.

— Ale gdzie tam! — odrzekła ciocia — można jeszcze zrobić miszek, pudełko na marki... ale, — przerwała nagle — jeżeli jesteście już zmęczeni to dajmy pokój na dziś.

(d. c. n.)

Roztrzepana Kazia.

Mama Kazi jest bardzo dobrą, rozmawia często z córeczką, a w rozmowach tych objaśnia jej dużo pożytecznych rzeczy, ale Kazia to dziewczynka roztrzepana, nie słucha uważnie, a nawet często nie zwraca uwagi na to, co własnymi widzi oczami. Mama w pogadance o szkole opowiadała, że nie wytrzymuje ono nagłego przejścia z zimna do gorąca i odwrotnie z gorąca do zimna. Kazia nawet niejednokrotnie powtarzała innym, co przy takich rozmowach od mamy słyszała, ale ponieważ nie lubiła zastanawiać się, nie umiała sama zastosować tego w praktyce, choć była już sporą dziewczynką. Pewnego dnia poszła z karafką do kuchni po wodę, a nalawszy jej wprost z wodociągu, miała już wracać do pokoju, gdy nagle posłyszała jakąś wrzawę na podwórzu. Nie myśląc wiele, stawia karafkę na gorącej blasze kuchni i spieszy do okna.

Wtem trzask! odwraca się przerażona, lecz cóż widzi, kłęby pary nad kuchnią, a z karafki rozbite szczątki.

Wparę dni potem, w wieczór, gdy już zapalono światło, zdaje się Kazi, że lampa w pokoju brata, pali się jakoś ciemno, aha! myśli sobie, nie obcięli knota, trzeba to poprawić. Nie chcąc sparzyć palców bierze wilgotny ręcznik i szkło przez niego ujmuje.

Znowu trzask! szkło od lampy leży w kawałkach na biurku. Wbiega na hałas przestraszona mama, widząc bezmyślną córeczkę przy lampie, nic już nie mówi, ale na twarzy jej rozlał się taki smutek, że Kazi aż serce ścisnęło się z bólu, bo w gruncie dobrą była dziewczynką. Upłynęło spokojnie parę tygodni, było to jakoś w grudniu, blisko świąt Bożego Narodzenia, mróz pokrył szyby wzorzystymi deseniami, Kazi podobały się bardzo, cały ranek cieszyła się niemi, ale w parę godzin już się to jej znudziło, gdyż nie mogła wyglądać na ulicę. Otóż przychodzi jej do głowy piękna myśl. Przynosi na miseczce gorącej wody, macza chusteczkę i zaczyna zmywać piękne wzory. Zgadujecie zapewne co się stało, szyba pękła, a zanim przyszedł szklarz, aby wprawić nową trzeba było okno zakleić papierem. Wyglądało to mniej ładnie, niż wzorzyste desenie z mrozu, a patrzeć na ulicę również nie było można. Wypadek ten jednak wpłynął na brzydkie roztargnienie dziewczynki, bo widząc zmartwienie mamy, rozplakała się i przyrzekła być już uważniejszą. Mama jednak, chcąc aby lepiej pamiętała skutki swego roztrzepania, kazała jej zapłacić za szybę własnymi pieniędzmi, które zbierała do skarbonki.

A. R.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Daszy ciąg)

Daremnie tłumaczyła jej pani Zalitowska, że ten powrot w obecnej chwili niemożliwy, że nie miałyby tam dachu nad głową, że muszą czas jakiś korzystać z gościnności przyjaciół ojca, odpłacając ich dobroć szczerą wdzięcznością; dziewczynce przecież ciężyc się zdawały odbierane dobrodziejstwa. Cierpiała pani Hanna nad tem usposobieniem córki, dopiero pani Ostrobrodzka wpadła na myśl szczęśliwą, której wykonanie usunęło nieśmiałość Ludmiły, stanowiącą główną zaporę w nawiązaniu serdecznego między dziewczynkami stosunku. Wyznaczyła obu towarzyszkom kawałek ziemi w ogrodzie, który wspólnie pod jej kierunkiem uprawiać miały. Wiadomo, że w każdym smutku praca bywa najlepszą pociechą i uspokojeniem. Środek ten również dla Ludmiły okazał się zbawienny, zrazu niechętnie zabierała się do roboty, niejedna łezka potoczyła się po jej bladej twarzyczce, gdy była zmuszoną grabić lub szpadel brać do ręki; nie zważając na to jednak pani Ostrobrodzka codziennie wyznaczała dziewczynkom kwaterę, którą przekopać lub zagrabić miały dla posadzenia na niej warzywa lub zasiania kwiatków. Wspólna praca prędko zbliżyła dziewczynki do siebie tak, że wkrótce jedna bez drugiej obejść się nie mogły. Dzielną też pomoc w zajęciach ogrodowych niósł im młody Węgrzynek.

Po śmierci swego dobroczyńcy całą wdzięczność i przywiązanie dla niego przeniósł na pozostałą po nim sierotę; przemyślał tylko czemby jej dogodzić, czem się przysłużyć, czem przyjemność jaką zrobić; dziewczynka, czując mimowoli żal do tego, który był główną przyczyną zgonu jej ojca, odwracała się od chłopca z niechęcią i tylko wspomnienie na ostatnie wyrzeczone słowa zmarłego, powstrzymywały ją od objawienia Stefanowi żalu wypełniającego jej serce. Obojętność jednak młodej panienki nie zrażała biednego Węgrzynka, choć zdaleka, czuwał nad każdym jej krokiem, spieszył z pomocą ile razy tego okazywała się potrzeba. Widząc jak niesporo praca ogrodnicza idzie Ludmile, jak często smutnie zamyślona, opuszcza ręce, dając się wyprzedzić żywszej i chętniejszej do pracy Bożennie, chłopiec nie mówiąc wstawał raniutko, biegł do ogrodu, przekopywał na nowo grządkę Ludmiły, wrywał chwasty, a nie domyślając się tego dziewczynki, dziwiły się dlaczego rośliny i krzewy bujniej rosły na kwaterze mniej dbalej o nie Ludmiły, niżeli na grządkach tak starannie uprawianych przez Bożennę, chociaż i jej starał się Stefan przypodobać, pomagając w ulubionem jej zajęciu drobiem i ptaszkami. Sama ona codziennie sypała ziarno kurom i gąskom, które na jej głos zbiegały się gromadnie. Najmilsze przecież dla niej były chwile, spędzane w gołębniku wśród ulubionych gołąbków. Chłopiec więc uczył ją rozróżniać gatunki tych ptaków, sinia-ki od grzywaczów, jak się z niemi obchodzić, jak je oswojać aby same przychodziły z ręki brać pożywienie, a Bożenna tak z nauk tych korzystać umiała, że niebawem najulubieńszy biały gołąbek przywykł siadać jej na ramię i stał się nieodstępny jej towarzyszem. Dzi

wczynka też swego ukochanego gołąbka nie byłaby oddała za żadne skarby świata.

Zgodnie więc z przewidywaniem pani Ostrobrodzkiej, wspólna praca w ogrodzie skutecznie dopomogła do przełamania lodów i zawiązania przyjaznego stosunku między dziewczynkami. Rzecz to niezawodna, że przywiązujemy się do tego co trudów i starań naszych jest owocem; gdy po jakimś czasie dwie towarzyski ujrzały z posianych ziarenek wątłą roślinkę wychodzącą z pod ziemi, gdy potem z zielonych listków strzeliła ku górze cienka łodyga z pączkiem, który rozwijał się w barwny kwiatek, dziewczynki nie posiadały się z radości. Przyłapawszy też raz niespodzianie Stefana na gorącym uczynku jak podlewał i okopywał ukradkiem ich ogródki ujęte dowodami jego życzliwości, za pozwoleniem obu matek przypuściły go do swoich zajęć codziennych. Chłopiec uważał to za szczęście, że mógł panienkom służyć i przysparzać im przyjemności. Codziennie wymyślał nową dla nich niespodziankę, robił ławeczki z murawy pod drzewem, z kamieni i gałęzi układał groty, do których dziewczynki chroniły się przed deszczem lub palącymi zbyt mocno promieniami słońca, a najczęściej dla córek swego dobroczyńcy wypraszał u ogrodnika doniczkę z kwitnącym kwiatkiem, którą stawiał na jej kwaterze. Ludmiła też coraz chętniej biegła z Bożenną do ogrodu i z coraz większym upodobaniem wypełniała tam zajęcia swoje. Dnia jednego gdy z pomocą Stefana sadziły krzaki róż, mających stanowić główną ozdobą kwiatowej kwatery, Bożenna odezwała się do towarzyski:

— Z pierwszych róż jakie zakwitną w naszym ogrodku uwijemy piękny wieniec i poprosimy mamy, abyśmy go złożyć mogły na grobie twego ojca.

Usłyszawszy te słowa Ludmiła z płaczem rzuciła się w objęcia Bożenny; był to pierwszy gorący uścisk, który ich serduszka węzłem szczerego uczucia połączył. Odtąd owo uczucie przyjaźni z każdym dniem więcej je zbliżało do siebie; znikł przedział dzielący córkę bogatych właścicieli zamku, od córki ubogiej pani Zalitowskiej; Ludmiła widziała już tylko w Bożennie serdeczną, kochającą towarzyszkę, gotową zawsze z nią dzielić smutek i radość, pracę i zabawę, przywiązywała się do niej z każdą chwilą silniej. Pożądana ta zmiana w usposobieniu sieroty uczyniła także serce jej dostępnejsze uczuciu życzliwości dla drugich. Zyskał na tem biedny Stefan, zrozumiała bowiem teraz, że chłopiec nie był winien nieszczęściu, jakie pośrednio na nią ściągnął i, że przezwyciężając niesłuszny żal swój do tego, który równie szczerze jak ona opłakiwał zgon jej ojca, najskuteczniej uszanuje tem wolę zmarłego i uczci jego pamięć. Coraz też częściej zwracała się do młodego Węgrzynka z łagodnym słowem, z prośbą o wyświadczenie jej małej jakiej przysługi, a każde takie jej żądanie napelniało radością serce biednego Stefana. Niebawem też miała nadarzyć się sposobność, w której jawnie mógł okazać gotowość poświęcenia swego dla córki utraconego dobroczyńcy.

Razu jednego obie przyjaciółki, otrzymawszy pozwolenie matek swoich, wyszły na drogę ciągnącą się poza parkanem ogrodowym dla narwania w rowie krzaczków niezapominajek, które chciały posadzić w kwaterach kwiatow-

wych. Bożenna, skorsza do wykonania każdego planu, zeszała w głąb rowu, a Ludmiła stojąc nad brzegiem, odbierała rośliny, które jej towarzyska podawała, gdy nagle od strony wsi, leżącej opodał, rozległy się głośne krzyki; przestraszone sądziły w pierwszej chwili, że może pożar gdzie wybuchnął, ale spojrzawszy, ujrzały tylko gromadę ludzi pędzących drogą beładnie i dosłyszały wołanie:

— Uciekajcie! pies wściekły!

Przerażenie odjęło im przytomność umysłu; Ludmiła ku domowi biedz zaczęła, ale zaraz szlachetniejsze uczucie przyjaźni wzięło górę nad samolubnym instynktem zachowawczym, zrozumiała, że nie godzi się odstępować towarzyszkę w niebezpieczeństwie; przyskoczyła tedy do niej i wyciągnęła rękę, aby jej pomódz wyjść z rowu. W tej chwili czarny, kudłaty pies, że zwieszonym ogonem, roziskrzonymi oczami, zapienionym pyskiem rzucił się na biedną sierotę i zębami pochwycił za suknię, Ludmiła krzycząc rozpaczliwie szamotała się z napastnikiem, gdy naraz odepchniętą została tak silnie, że padła w rów w objęcia Bożenny, na drodze zaś ujrzała bladego z przerażenia Stefana w zapasach ze wściekłym zwierzęciem. Walka była ciężką; chłopiec broniąc przystępu do ukochanych panienek pochwycił psa za gardło, ale ten zdążył go ugryźć w rękę, zanim nadbiegli ludzie i uderzeniem drąga powalili niebezpieczne zwierzę na ziemię i kilku ciosami dobili na miejscu. Dzielnego chłopca odprowadzono coprędzej do zamku; przodem pobiegły dziewczynki, żeby matki swoje uprzedzić o zaszłym wypadku. Obie panie z przerażeniem dowiedziały się o niebezpieczeństwie jakie groziło ich córkom, i coprędzej zajęły się ratunkiem odważnego ich obrońcy.

W owych czasach ludzie nie znali jeszcze sposobów zapobiegających udzielaniu się zarazka wściekliczny, jedynym środkiem, używanym w takich razach, było natychmiastowe wypalenie rany. To też gdy doświadczona w niesieniu pomocy chorym pani Ostrobrodzka, oświadczyła, że chłopiec musi się poddać zaraz bolesnej tej operacyi, dziewczynki głośnym wybuchnęły płaczem, chociaż przez matki za to zgromione zostały, bo nie w taki sposób należy ludziom dodawać odwagi.

Na tej odwadze jednak nie zbywało Stefanowi; uspokojony, że panienkom nie stało się nic złego, dowiedziawszy się o przejściu bolesnym jakie go czeka, wyciągnął sam bez wahania zranioną rękę, mówiąc:

— Zniosę chętnie ból najdotkliwszy z myślą, że się w małej części wypłaciłem dobroczyńcy memu za ofiarę życia, jaką poniósł dla mnie.

Rzeczywiście bez jęku prawie zniósł wypalenie rany rozpalonem żelazem, tylko siły jego fizyczne nie dorównały siłom moralnym bo zaraz potem dostał gorączki.

Choroba jednak minęła prędko i jedynym śladem przykrego wypadku pozostała rana na ręce, którą opatrywała codziennie sama pani Ostrobrodzka z pomocą dziewczynek. Te ostatnie pielęgnowały troskliwie Stefana; zmieniały bandażę, przykładaly na bolącą rękę gojące maście, a wieczorem przy pacierzu zanosily do Boga modlitwę o jego wyzdrowienie. Prośby ich wysłuchane zostały, po kilku dniach p. Ostrobrodzka oświadczyła, że niebezpieczeństwo minęło, a chłopiec choć bladej jeszcze był już w mo-

żności przechadzać się z panienkami po ogrodzie. Jak każdy człowiek odzyskujący zdrowie, Stefan nie mógł się nacieszyć widokiem pięknej natury, zielonością drzew, zapachem woniących kwiatów, wesołym świegotem ptasząt, świeżością ożywczego powietrza. Dziewczynki sadzały go na ławeczce, którą niegdyś sam dla nich zrobił z darniny i znosiły mu najpiękniejsze kwiaty ze swego ogrodu. Chłopiec z wdzięcznością całował ich ręce mówiąc z rozrzewnieniem:

— Chyba Bóg w nagrodę smutnej dotychczas doli mojej zesłał mi tak dobrych opiekunów!

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Kiedy mam *a* w pośrodku, jestem polską rzeką,
Której wody od starej Wisły bystro cieką.
Gdy mam *e* odpoczynkiem wzmacniam wszelkie siły.
A gdy *y* tom zazwyczaj bardzo ludziom miły.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Smok Wawelski.

1
2
3
4
5
6

W kwadracie o 6 przedziałkach, ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę miasta w Szwajcaryi.

Znaczenie wyrazów: 1) Zwierzę afrykańskie przeżuwające. 2) Zwierzę ssące morskie. 3) Największe zwierzę Australii. 4) Zwierzę przeżuwające, żyjące przeważnie w Afryce. 5) Ryba z rodz. poprzecznoustnych. 6) Ptak z rodz. brodzących.

NITECZKA ARYADNY.

Od Niezabudki dla kochanej nauczycielki.

Wiel	każ	przy	stać	u
dem	ka	nie	nie	por
swem	i	to	po	być
zda	niu	ryw	mą	nie
niu	ła	w dzia	czym	drość

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go

Szarady: Skarga:

Łamigłówki w trójkącie:

B o l e s ł a w
O r f e u s z
L a u f e r
E u b e a
S o w a
Ł ó t
A s
W

Łamigłówki geograficznej:

L H D S K N P I S
o u e i ł a a t a
A m s t e r d a m
r a n k c e w k u
a n i a a k w a a r

Skrzynka do listów.

Kochanej naszej staruszce, **Wróźbiarce Szczęścia**, serdecznie dziękujemy za list i życzenia, wielka to pociecha podobne listy bierać, a za dowody serca, sercem tylko odpłacać można.

Kwaciarcie również wdzięczni jesteśmy za dobre życzenia. Żadaną książkę wysyłamy, łamigłówki oczekiwane będziemy.

Radzi jesteśmy, że wysłana książka dla **Zosi K.** przysłała w dobrej porze i była dla niej przyjemną rozrywką, sądząc z liściku, mamy nadzieję, że choroba była lekka i żeś już zupełnie do zdrowia powróciła.

Marylce i Helence K. z Chersonia za życzenia dziękujemy, miło nam bardzo, że książeczki z zajęciem były czytane.

Zosi G. posyłamy książeczkę którą sobie życzy. Za liścik dziękujemy i nawzajem raz jeszcze osobno życzenia najlepsze przesyłamy.

Jadzi G. ze Stanisławowa zaginiony numer wysyłamy. Warunki prenumeraty wymienione są w każdym numerze naszego piśmka.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: **Puszczyk z Pilawy, Dziunia, Janek M., Wicher i Młoda Brzózka**, nadto **Biały Orzeł i Puszczyk z Pilawy** dołączyli zadania własnego układu, które o ile okażą się odpowiednie będą pomieszczone w Wieczorach.

Ptaszynie na obadwa listy odpisałam w poprzednich numerach, niesłuszną więc jest twoja wymówka, że cię tak długo pozostawiam bez odpowiedzi, mam nadzieję, że przeczytawszy jedną i drugą żalu do mnie mieć nie będziesz.

Maniusi Ł., cieszę się, że Wieczory czytujesz z zajęciem.

Trzem Raczkom z Siedlisk za miły i ciekawy bardzo liścik: jak również za dobre życzenia wdzięczną jestem. Z wielkim zajęciem czytałam opis jak wesoło upłynęły wam dni świąteczne, a choć żal, że już przeszły, po milej zabawie z podwójną chęcią zabieramy się do pracy.

Brzózce za serdeczne życzenia dziękuję, nowej łamigłówni oczekiwane będziemy.

Helence Sz. Ucieszyłam się wyczytawszy, że moja odpowiedź sprawiła ci przyjemność, za życzenia bardzo dziękuję, na każdy twój liścik niezawodnie odpisywać będę.

Jaskółka.